

Prof. Jan Błoński

Biedni Polacy patrzą na getto

Esej opublikowany w "Tygodniku Powszechnym" (nr 2/1987)

Czesław Miłosz wypowiedział kilkakrotnie osobliwe słowa o obowiązku oczyszczenia, który ciąży na polskiej poezji. Oczyszczenia rodzinnej ziemi, która jest - przytaczam - "obciążona, skrwawiona, zbezczeszczona". Obciążać może tylko krew cudza. Krew własna, krew ofiary podsyca wspomnienie, budzi żal, litość, szacunek. Domaga się pamięci, modlitwy, sprawiedliwości. Pozwala także na przebaczenie, chociaż przebaczenie to nie przychodzi łatwo. Inaczej już z krwią cudzą, ale przelaną w sprawiedliwej walce. Mamy prawo do obrony koniecznej, ale to prawo już jest ustępstwem, Chrystus kazał Piotrowi schować miecz... Zapewne więc każda przelana krew domaga się refleksji i pokuty, nie można jednak powiedzieć, aby każda obciążała, bezcześciła ziemię.

Miłosz nie myśli ani o krwi rodzimej, ani o krwi najezdników. Jasne, że myśli o krwi żydowskiej, o ludobójstwie, którego naród polski nie jest winien, ale które dokonało się na naszej ziemi i tę ziemię jakoś na wiek wieków naznaczyło. Poezja, literatura - albo ogólniej, pamięć, zbiorowa świadomość - nie może o tym krwawym i ohydny znak zapomnieć. Nie może zachować się tak, jakby go nie było... Słychać jednak czasem głosy (zwłaszcza młode), których ten znak nie porusza. Odrzucamy przecie - powiadają - zasadę odpowiedzialności zbiorowej... Jeśli tak, nie musimy wracać do spraw zapadłych nieodwracalnie w przeszłość. Dość będzie, jeśli zbrodnię potępimy in toto, jak potępiamy wszelką krzywdę, wszelką nikczemność. Odpowiem tak: kraj ojczysty nie jest hotelem, w którym dość sprzątnąć brudy po przypadkowych gościach. Zbudowany jest przede wszystkim z pamięci, inaczej mówiąc, jesteśmy sobą tylko dzięki pamięci o przeszłości. Tą przeszłością nie możemy dowolnie rozporządzać, chociaż - jako jednostki - nie jesteśmy za tę przeszłość bezpośrednio odpowiedzialni. Musimy nosić ją w sobie, chociaż bywa to przykre czy bolesne. I winniśmy dążyć do tego, aby ją oczyścić.

Ale jak? Oczyścić pole Kaina to - najpierw - pamiętać o Ablu. Ów Abel nie był sam, mieszkał w naszym domu (na naszej ziemi), a więc we wspólnym domu na wspólnej ziemi. Krew została na ścianach, wsiąkła w ziemię czy chcemy, czy nie. Wsiąkła w naszą pamięć; w nas samych. Więc nas samych musimy oczyścić, czyli zobaczyć siebie w prawdzie. Bez tego dom, ziemia, my sami pozostaniemy zbrukani. Taki jest sens słów poety, jeżeli je dobrze rozumiem. Tak w każdym razie widzi on swój obowiązek, wzywając niejako nas wszystkich, abyśmy także swego obowiązku dopełnili.

Jak to jest trudne, dowodzi znany bardzo wiersz Miłosza, Campo di Fiori. Opowiada o karuzeli, którą - chciał traf, ale jaki to znaczący, osobliwy traf - zmontowano w Warszawie, na placu Krasińskich, tuż przed wybuchem powstania w getcie. Gdy zaczęły się walki, karuzelowy interes nie przestał funkcjonować, gromadził dalej dzieci, młodzież, gapiów.

Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce,

Łapali płatki w powietrzu
Jadący na karuzeli.

Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących,
Śmiały się tłumy wesole
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.

Miłosz porównuje "wesole tłumy" z rzymskimi przekupniami, którzy - w chwilę po spaleniu Giordana Bruna - powrócili do swoich zajęć, ciesząc się "różowymi owocami morza", "koszami oliwek i cytryn". I kończy refleksją o "samotności ginących", której sprzeciwia się "słowo poety". Tylko tak może ono - zdaje się mówić - "ocalić" to, co można jeszcze ocalić, ocalając zaś, oczyszcza naszą pamięć buntem przeciwko mijaniu i "zapomnieniu", co rośnie "Nim jeszcze płomień przygasnął".

Wspomnienie i westchnienie nie uwalnia jednak od obrazu stosu na targu czy karuzeli na grobie. Dowodem dalsze dzieje wiersza, który był często tłumaczony i przytaczany. Rozumiano go nieraz jako oskarżenie. Przełożony na przykład na hebrajski, zdać się może dowodem na wrogą obojętność wobec zagłady getta... Po latach Miłosz zastanawia się, "czy rzeczywiście taka była wtedy ulica warszawska. I była, i nie była. Była, bo w okolicach getta kręciły się karuzele i nie była, bo w innych momentach, w innych okolicach Warszawa była inna, więc nie chodzi o jakieś oskarżanie". Wiersz - powiada - jest "publicystyczny", czyli nadto jednoznaczny, za łatwo pozwala wyciągać wnioski. Coś upraszcza, upraszczając zaś, uspokaja... Gorzej: poeta odkrywa, że napisał wiersz "bardzo niemoralny". Dlaczego? Bo - cytuję - "pisany o umieraniu z pozycji obserwatora". I rzeczywiście: tak jest ten wiersz napisany, że ten, który mówi - czyli poeta - wychodzi obronną ręką. Jedni umierają, drudzy się bawią, on zaś "wzniesła bunt" swoim słowem i odchodzi, zadowolony, że piękny wiersz napisał... Czuje więc po latach, że się za łatwo wykręcił. W zestawieniu z "horrorem", jak mówi, pisanie okazuje się "niemoralne": Campo di Fiori nie zdołało pokonać "konfliktu życia ze sztuką". Miłosz dodaje więc na usprawiedliwienie, że wiersz powstał "jako zwyczajny odruch ludzki wiosną 1943 roku" i oczywiście, zgodzimy się chętnie, że był to piękny, szlachetny odruch. W tę okropną Wielkanoc uratował on - jak ktoś ładnie napisał - "honor ludzkiej poezji". Ale razem z poetą czujemy, że ostatnie słowo nie zostało powiedziane.

Może te poetyckie udręki pomogą nam zrozumieć, dlaczego nie możemy sobie poradzić z rozważeniem całej żydowsko-polskiej przeszłości. Porzucę więc teraz literaturę i odwołam się do osobistego doświadczenia.

A właściwie nie całkiem osobistego, bo każdy chyba, kto był za granicą, powiedzmy, na zachodzie Europy, usłyszał pytanie, czy Polacy są antysemitami? Albo wyraźniej: dlaczego Polacy są antysemitami? Ja sam słyszałem to pytanie tyle razy, i tyle razy wdawałem się w wyjaśnienia, że mógłbym chyba ze dwadzieścia takich rozmów schematycznie streścić. Czy Polacy są antysemitami? - Dlaczego pan tak stawia pytanie? Bywają Polacy antysemitami, bywają filosemitami, bywają tacy, których to nic nie obchodzi, i takich właśnie jest coraz więcej. - Oczywiście, są rozmaici Polacy, ale ja pytam o większość społeczeństwa. Polacy zawsze uchodzili za antysemitów, nie może to być przypadek? - Jak to zawsze? Przecież wtedy, kiedy

Anglia, Francja, Hiszpania wygnały Żydów, właśnie w Polsce znaleźli schronienie! - Zapewne, ale to było dawno, w średniowieczu, wtedy Żydami pogardzano wszędzie, ale od połowy osiemnastego wieku, w nowożytnej Europie, zawsze były z polską nietolerancją kłopoty - Ale przecie od końca osiemnastego wieku żadnej Polski nie było! - Było jednak polskie społeczeństwo, w którym Żydzi nie mogli sobie znaleźć miejsca, dlaczego? - Byliśmy w niewoli, musieliśmy myśleć przede wszystkim o sobie - Właśnie. Dlaczego nie myśleliście o sobie razem z Żydami? - Za wielu ich było. Nie mieliśmy szkół, sądów, urzędów. Żydzi nie mówili nawet po polsku. Woleli uczyć się niemieckiego, rosyjskiego... Ale światli ludzie namawiali do asymilacji, starali się zbliżyć Żydów do Polaków! - Cemu nie odwrotnie? Czy Żydzi nie mogli zostać Żydami? Urządzaliście pogromy, nie wiadomo dlaczego? - pierwsze pogromy miały miejsce na Ukrainie, sprowokowała je carska policja...

I dalej:

- Kiedy odzyskaliście niepodległość, los Żydów wcale się nie polepszył. Przeciwnie, antysemityzm stawał się coraz jadowitszy... - W dwadzieścia lat nie można przerobić społeczeństwa, a poza tym, czy w całej Europie nie było podobnie? Po pierwszej wojnie przyjęliśmy wielu Żydów z Rosji, po 1934 roku - z Niemiec... - Może to i prawda, ale traktowaliście Żydów jako obywateli drugiej kategorii. A w czasie wojny uchroniliście bardzo niewielu - Jest w Izraelu miejsce pamięci ludzi, którzy ratowali Żydów, trzydzieści procent nazwisk to Polacy. - Ale procent ocalonych Żydów był w Polsce niski, najniższy w Europie w stosunku do całej ludności kraju - W 1942 roku, w Warszawie, na ośmiu Polaków było w mieście czterech Żydów. Jak ośmiu może ukryć czterech? - Właśnie Polacy rozpoznawali Żydów i wydawali ich Niemcom. Albo policji, która przecie była polska... - W każdym społeczeństwie jest kilka procent ludzi bez sumienia. Pan nie ma pojęcia, czym była okupacja niemiecka w Polsce. Za ukrywanie jednego Żyda rozstrzeliwano całe rodziny, z dziećmi włącznie. - Owszem, tak było, ale za konspirację także strasznie karano, a wszyscy podobno konspirowali. Żydzie nie chcieli pozostać w Polsce... - Trudno im było żyć wśród wspomnień. - Trudno im było żyć wśród Polaków, którzy nie chcieli im zwracać sklepów, mieszkań, grozili, zabijali, nie słyszał pan o pogromach, w Krakowie, w Kielcach? - Pogrom w Kielcach był prowokacją polityczną - No to co? Prowokacja, jeśli była, to znalazła posłuch. Dziesięć tysięcy prowokatorów? - Żydzi ginęli nieraz nie za to, że byli Żydami, ale za to, że byli komunistami. - A w 1968 roku, czy dlatego opuszczali Polskę, że byli komunistami?

I tak do końca czy też raczej, bez końca. Dyskusje historyków wyglądają bardzo podobnie. Powracają - dokładniej udokumentowane - te same opinie i zdarzenia, które starałem się zebrać w mojej (na wpuł) wyimaginowanej rozmowie. Istnieje o tych sprawach ogromna literatura, pamiętnikarska i historyczna, o której mamy w Polsce bardzo blade pojęcie... Tymczasem powinniśmy ją znać, choćby dlatego, że mówi także o nas. Jest w niej znaczny rozrzut stanowisk i wniosków. Trafiają się książki, których autorzy nie kryją, że powoduje nami nienawiść. Lekceważyć ich nie wolno. Zrodziły się przecie z osobistych przeżyć, których autentyczności nie sposób podawać w wątpliwość. A poza tym - czy w naszym piśmiennictwie nie roi się od wypowiedzi, pełnych obłąkanej wręcz nienawiści do Żydów?

Jest także sporo książek ostrożnych i - o ile możliwe - obiektywnych. Przypominają one starannie mentalne i materialne uwarunkowania polsko-żydowskiego współżycia. Uwzględniają niewyobrażalne dziś niemal natężenie okupacyjnego terroru, który

spowodował moralne zdziwienie społeczności - nie tylko polskiej... Przyjmują milcząco we wnioskach, że do nieszczęść środkowej Europy nie można przykładać miar, powiedzmy, angielskich. Gdy wali się niebo, nawet kopniak może być dowodem litości i współczucia... Prawda pozostaje jednak i trudna do ustalenia, i trudna do przyjęcia. Przysłuchiwałem się przed dwoma laty dyskusji zagranicznych i polskich specjalistów i muszę powiedzieć, że było to bardzo ciężkie przeżycie. Dla nas i także, jak sądzę, dla Żydów. Do uzgodnienia stanowisk było oczywiście daleko. Ale też nie jest ono celem takich konferencji. Myślałem ciągle o tym, co nie zostało tam powiedziane i co właściwie sprawia, że dyskusje - przyjacielskie na ogół - łączyły się dla wszystkich z przykrością i cierpieniem. Potem doszedłem do wniosku, że było to właśnie poczucie skażenia, zbrukania, zbezczeszczenia, o jakim mówił Miłosz.

Dlatego pozwolę sobie jeszcze raz wrócić do poety. W 1943 roku Miłosz napisał inny jeszcze wiersz o zburzeniu getta. Jest on mniej jednoznaczny, może nawet trudny do zrozumienia? Zaczyna się od obrazu niszczenia:

Rozpoczyna się rozdzieranie, deptanie
jedwabiu,
Rozpoczyna się tłuczenie szkła

Drzewa, miedzi, niklu, srebra, pian
Gipsowych, blach, strun, trąbek, liści,
kul, kryształów –

aż:

Wali się w ogniu dach, ściana i żar
ogarnia fundament.
Jest już tylko piaszczysta, zdeptana,
z jednym drzewem bez liści -
Ziemia.

Zburzone zostało miasto, została ziemia, pełna skorup i odpadków. Pełna także ciał ludzkich.
I w tej ziemi czy raczej pod ziemią

Powoli, drążąc tunel, posuwa się
strażnik-kret
Z małą czerwoną latarką przypiętą
na czole.
Dotyka ciał pogrzebanych, liczy,
przedziera się dalej,
Rozróżnia ludzki popiół po tęczującym
oparze.
Popiół każdego człowieka po innej

barwie tęczy.

Kim jest ten kret, trudno powiedzieć. Jest strażnikiem, może strażnikiem pogrzebanych? Ma latarkę, a zatem widzi, widzi w każdym razie lepiej niż umarli. A wśród tych umarłych znajduje się jakby także sam poeta, czy też raczej ten, który wiersz wypowiada. I on tam leży, i boi się. Boi się kreta. Osobliwy, zdumiewający obraz.

Boję się, tak się boję strażnika-kreta.
Jego powieka obrzmiła jak u
patriarchy,
Który siadywał dużo w blasku świec,
Czytając wielką księgę gatunku.

A zatem ten kret ma rysy Żyda, ślęczącego nad Talmudem czy Biblią. Chyba Biblią, bo ona raczej zasługuje na nazwę "wielkiej księgi gatunku", ludzkiego oczywiście.

Cóż powiem mu ja, Żyd Nowego
Testamentu,
Czekający od dwu tysięcy lat na
powrót Jezusa?
Moje rozbite ciało wyda mnie jego
spojrzeniu
I policzy mnie między pomocników
śmierci
Nieobrzezanych.

Straszny to wiersz, bo pełen lęku. Ale są w nim jakby dwa strachy. Jeden, to strach przed śmiercią, dokładnie przed pogrzebaniem żywcem, co przecie zdarzyło się tylu ludziom, zasypanym w podziemiach, także w piwnicach getta. Ale w tym pierwszym strachu jest drugi strach, strach przed strażnikiem-kretem. Ten kret posuwa się pod ziemią, ale także jakby - poniżej naszej świadomości. To poczucie winy, do jakiej nie chcemy się przyznać. Pogrzebany pod ruinami między zwłokami Żydów, "nieobrzezany" boi się, że zostanie policzony przez morderców. Więc lęk przed potępieniem, lęk piekielny! Lęk nie-Żyda, który patrzy na walące się getto. Wyobraża sobie, że mógłby tu - przypadkiem - także zginąć, i wtedy w oczach kreta, co umie rozróżnić popioły, wyda się "pomocnikiem śmierci". I rzeczywiście, wiersz nosi tytuł Biedny chrześcijanin patrzy na getto. A zatem jest w tym chrześcijaninie lęk przed losem, jaki spotkał Żydów, ale jest także - stłumiony, zaszyfrowany przez niego samego - lęk przed tym, że zostanie potępiony. Potępiony przez kogo? Przez ludzi? Nie, ludzi już nie ma. To kret go potępia, a raczej może potępić, ten kret, który dobrze widzi i zna "księgę gatunku". Własne moralne sumienie potępia (może potępić) biednego chrześcijanina. I on chciałby się przed tym kretem-sumieniem ukryć, bo nie wie, co mu powiedzieć.

Miłosz, zapytany, co czy kogo ten kret oznacza, uchylił się od odpowiedzi. Odparł, że napisał wiersz spontanicznie, nie zaś "programowo". Jeśli tak, tym lepiej, wiersz byłby bezpośrednim wyrazem grozy, która - jak to bywa we śnie i także w sztuce - wyłania z siebie obrazy. Unaocznia to, co nie w pełni zrozumiane, to co było, a może jeszcze jest, w ludziach, zapewne także w poecie, ale w niejasnym, zamazanym, przytłumionym kształcie. Wczytując się w taki wiersz, lepiej siebie rozumiemy, bo to, co niejasne, oglądamy jakby przed nami. Ja Biednego chrześcijanina trochę - jak każdy czytelnik - uzupełniłem, skomentowałem. Myślę jednak, że nie jestem bardzo daleko od odczuć poety.

Ale nie tylko poety. Wracam teraz do fikcyjnej rozmowy. Jest ona - trochę uproszczonym - streszczeniem dziesiątków sporów i polemik. Co w niej uderza? W odpowiedziach mego syntetycznego Polaka rozpoznać można ten właśnie lęk, który odzywa się w Biednym chrześcijaninie. Lęk, aby nie zostać policzonym między pomocników śmierci. Tak on okropny, że czynimy wszystko, aby go oddalić, aby nie dopuścić nawet do jego wyjawienia. Czytamy czy słuchamy rozważań o żydowsko-polskiej przeszłości i kiedy tylko dojdzie do nas zdarzenie, fakt, który nie najlepiej o nas świadczy, gorączkowo staramy się go pomniejszyć, wytłumaczyć, zbagatelizować. Nie jest nawet tak, abyśmy go chcieli ukryć czy zaprzeczyć, że miał miejsce. Czujemy przecież, że nie wszystko było w porządku. Jakże zresztą mogłoby być w porządku? Współzycie społeczności - jak współzycie jednostek - nigdy nie jest bez skazy. Cóż dopiero takie burzliwe, nieszczęśliwe współzycie. Nie umiemy jednak rozmawiać o nim spokojnie. Dlatego, że - świadomie czy nieświadomie - boimy się oskarżenia. Boimy się, że odezwie się strażnik-kret i powie, zajrzawszy w swoją księgę: ach, wyście także służyli śmierci? I wyście pomagali zabijać? Albo przynajmniej: patrzyliście spokojnie na żydowską śmierć?

Pomyślmy jednak uczciwie: takie pytanie musi paść. Musi je zadać każdy, kto rozmyśla nad polsko-żydowską przeszłością, niezależnie od odpowiedzi, jakiej udzieli. Ale my - świadomie czy nieświadomie - nie chcemy, aby to pytanie padło. Odsuwamy je od siebie jako niemożliwe, skandaliczne. Przeciśmy nie stanęli po stronie morderców. Przecież sami byliśmy następni w kolejce do pieca. Przecież - nie najlepiej, ale jednak - jakoś z tymi Żydami współżyliśmy, oni zaś także nie byli w naszych sporach bez winy. Więc stale musimy o tym wszystkim przypominać. Bo co o nas inni pomyślą? Jak my sami będziemy o sobie myśleć? Jakże to będzie z dobrym imieniem naszego kraju, naszego społeczeństwa?... Ta troska o "dobre imię" jest stale obecna w prywatnych - a bardziej jeszcze w publicznych - wypowiedziach. Inaczej mówiąc, rozważając przeszłość, chcemy z tych rozważań wyciągnąć moralny zysk. Nawet wtedy, kiedy potępiamy, chcemy sami stanąć ponad - czy poza - potępieniem. Chcemy znaleźć się absolutnie poza oskarżeniem, chcemy być zupełnie czysti. Chcemy być także - i tylko - ofiarami... Ta troska jest wszakże podszyta lękiem - jak w wierszu Miłosza - i ten lęk wypacza, zniekształca nasze myślenie o przeszłości. Co też od razu wyczuwają nasi rozmówcy... Nie chcemy mieć nic wspólnego z okropnością. Czujemy jednak, że kała nas ona jakoś, "bezczęści". Dlatego wolimy o tym wszystkim nie mówić. Albo mówimy tylko po to, aby odeprzeć oskarżenie. Oskarżenie, które nieczęsto pada, ale wisi niejako w powietrzu.

Czy możemy się go wyzbyć? Czy możemy mu zapobiec? Ja myślę, że nie, bo ono jest - na dobrą sprawę - w nas samych. To my sami boimy się kreta, który drąży sumienia. I myślę także, że go nie odpędzimy. A przynajmniej nie odpędzimy go, zapominając o przeszłości albo

przyjmując wobec niej postawę obronną. Musimy całkiem szczerze, całkiem uczciwie stanąć wobec pytania o współodpowiedzialność. Nie ma co ukrywać: to jest jedno z najboleśniejszych pytań, przed którym możemy stanąć. Myślę jednak, że powinniśmy je koniecznie rozważyć.

Przed tym pytaniem my - jako Polacy - nie stoimy sami. I to może nam pomóc. Nie dlatego, że raźniej bić się w piersi gromadnie. Że rozłożymy tak naszą winę, że się ta wina niejako pomniejszy... Raczej dlatego, że lepiej będziemy ją mogli zrozumieć. Zrozumieć zarówno naszą winę, jak to, dlaczego przed nią uciekamy. Czytaliśmy niedawno o wizycie, którą Ojciec Święty złożył w rzymskiej synagodze. Znamy też kościelne dokumenty, gdzie - już za czasów Jana XXIII - rozważono ponownie i miejmy nadzieję, ostatecznie stosunek chrześcijan do Żydów, albo raczej: chrześcijaństwa do judaizmu. W tym przemówieniu i w tych dokumentach od razu uderza jedno. Nie zajmują się one wyważaniem win ani roztrząsaniem przyczyn (społecznych, ekonomicznych, intelektualnych czy Bóg wie jakich), które sprawiły, że chrześcijanie patrzyli na Żydów jak na wrogów, szkodników czy natrętów. Jest natomiast jasno powiedziane: chrześcijanie (i Kościół) się mylili. Nie mieli prawa ani podstawy, aby uważać Żydów za naród "przeklęty", za naród winien śmierci Chrystusa. Taki zatem naród, który "powinien" zostać odsunięty, odosobniony, wyłączonej ze wspólnoty.

Jeśli się to jednak stało, to dlatego, że chrześcijanie byli za mało chrześcijanami... Nie mówi się zatem: myśmy "musieli" się bronić, myśmy "nie mogli" ratować czy traktować Żydów jak braci. Nie przypomina się nawet danych, które mogłyby stanowić okoliczność łagodzącą. A trochę takich danych jest. Przecież Żydów (jako monoteistów) nie lubiła już starożytność. W średniowieczu spoiwem Europy była jednolitość religijna... Kościół bywał też na ogół łagodniejszy niż świeccy panujący. Ale to wszystko nie zmienia istoty rzeczy. Musi więc zostać pominięte. Podkreśla się raczej, że kościelna praktyka podniecała niechęć do Żydów i utrzymywała ich w poniżeniu i izolacji... Słowem, współczesne dokumenty nie zmiernają do wybielenia przeszłości, nie targują się o okoliczności łagodzące. Mówią jasno o zaniedbaniu obowiązków braterstwa i miłosierdzia. Resztę pozostawiają historykom. W tym jest właśnie chrześcijańska wielkoduszność tych wypowiedzi.

Myślę, że w naszym stosunku do żydowsko-polskiej przeszłości winniśmy tę postawę naśladować. Przestać się bronić, usprawiedliwiać, targować. Podkreślać, czego nie mogliśmy zrobić, za okupacji czy dawniej. Zrzucać winę na uwarunkowanie polityczne, społeczne, ekonomiczne. Powiedzieć najpierw: tak, jesteśmy winni. Przyjęliśmy Żydów do naszego domu, ale kazaliśmy im mieszkać w piwnicy. Kiedy chcieli wejść na pokoje, obiecywaliśmy, że wpuścimy, jeśli przestaną być Żydami, jeśli się "ucywilizują", jak mawiano w XIX wieku, nie tylko w Polsce, rzecz jasna. Tak myślały najświatlejsze umysły, Orzeszkowa, Prus... Znaleźli się wśród Żydów tacy, co gotowi byli tej rady posłuchać. Ale wtedy zaczęliśmy mówić o najeździe Żydów, o niebezpieczeństwie, które nam zagrozi, kiedy przenikną w polskie społeczeństwo! Zaczęliśmy - jak to *expressis verbis* napisał Dmowski - stawiać warunki: jak choćby ten, że tylko tych Żydów uznać można za Polaków, co będą współdziałać w ograniczeniu żydowskich wpływów! Mówiąc zwyczajnie: tych, co zwrócą się przeciw bliskim, przeciw rodzicom! Wreszcie straciliśmy dom i w tym domu okupant zaczął Żydów zabijać. Czyśmy im solidarnie pomogli? Ilu z nas uznało, że to nie ich rzecz! Byli też tacy (pomijam zaś zwykłych zbójów) co się po cichu cieszyli, że Hitler załatwił nam "problem" żydowski... Nie umieliśmy nawet powitać i uszanować niedobitków, cóż z tego, że rozgoryczonych,

zbłąkanych, może i dokuczliwych. Słowem, miast się targować i usprawiedliwiać, winniśmy najpierw pomyśleć o sobie, o własnym grzechu czy słabości. Taki właśnie moralny przewrót jest w stosunku polsko-żydowskiej przeszłości konieczny. Tylko on może stopniowo oczyścić skażoną ziemię.

Co w słowach łatwe, w praktyce jednak trudne. Zmienić się musi bowiem społeczna świadomość problemu. Domagamy się nieraz od Żydów (albo od ich przyjaciół) ostrożnej, sprawiedliwej oceny wspólnych dziejów. Powinniśmy jednak najpierw wyznać naszą winę i prosić o przebaczenie. I w gruncie rzeczy oni tego tylko czekają - jeżeli czekają. Przypominam sobie wzruszające przemówienie. Mówca zaczął od stwierdzenia, że stosunek wielu Żydów do Polski przypomina zawiedzioną miłość. Mimo cierpień i trudności - ciągnął - społeczność żydowska była istotnie przywiązana do Polski. Znalazła tam bowiem dom i schronienie, możliwość "bycia u siebie". Świadomie czy podświadomie oczekiwali, że jej los będzie się polepszać. Że zmniejszy się ciężar poniżenia, przyszłość stanie się jaśniejsza. Stało się inaczej. Nic się już - kończył - nie zmieni. Żydzi nie mają i nie mogą mieć żadnej w Polsce przyszłości. Powiedzcie więc tylko - wołał - że w tym co się stało nie było naszej winy. Niczego innego nie chcemy. Ale z takiego przyznania nie możemy zrezygnować.

Oznacza to - po polskiej stronie - przyjęcie winy. Ale tu zjawia się po raz ostatni strażnik-kret i pyta: pełnej winy? Czy także współwiny za ludobójstwo? Słyszę już wołania: jak to? Przecież myśmy, na Boga, nie brali w ludobójstwie udziału! Tak, to prawda, odpowiem. Nikt rozsądny nie może powiedzieć, że Polacy - jako naród - brali w ludobójstwie udział. Co prawda, odzywają się czasem takie głosy. I należy je spokojnie rozważyć, nie popadając w gniew - znak paniki. Uważam je wszakże - razem ze znaczną większością - za niesłuszne. Więc dlaczego mówić o ludobójstwie? O współ-winie? Odpowiem tak: współ-udział i współ-wina to nie jest to samo. Można być współ-winnym, nie biorąc udziału w zbrodni. Najpierw przez zaniechanie czy przeciwdziałanie niedostateczne. A kto może powiedzieć, że było ono w Polsce dostateczne? Właśnie dlatego, że dostateczne nie było, składamy hołd i otaczamy wciąż tych wszystkich, którzy to heroiczne ryzyko podjęli... Chociaż dziwnie to zabrzmie, nie wykluczone, że ta współwina przez zaniechanie jest mniej istotna dla naszego pytania. Gdybyśmy bowiem - w przeszłości - postępowali mądrzej, szlachetniej, bardziej po chrześcijańsku, ludobójstwo byłoby zapewne "mniej do pomyślenia", byłoby prawdopodobnie utrudnione a już niewątpliwie spotkałoby się ze znacznie większym oporem. Inaczej mówiąc, nie zaraziłoby obojętnością i zdziwieniem społeczeństwa (społeczeństw), w przytomności których miało miejsce.

Powstaje zaraz pytanie, czy można to powiedzieć nie tylko o Polakach, także Francuzach, Rosjanach, o całej Europie, o całym chrześcijaństwie? Owszem, zgoda. Ta współwina jest rzeczywiście wspólna. Ale nie sposób zaprzeczyć, że właśnie w Polsce było Żydów najwięcej (więcej niż dwie trzecie Żydów na świecie to Żydzi "polscy", w tym znaczeniu, że ich przodkowie mieszkali na ziemiach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej). Z konieczności myśmy więc mieli wobec nich najwięcej moralnych zobowiązań (czy były one na nasze siły, niech rozstrzyga Pan Bóg i rozważają historycy). Więc dla nas Żydzi byli najbardziej problemem, można nawet powiedzieć, wyzwaniem czy zadaniem, które postawił los...

Aby na chwilę wrócić jeszcze do literatury: rozumiał to najlepiej nie kto inny jak Mickiewicz. Myśl i marzenie największego z poetów były najbardziej dalekowzroczne. Inaczej nawet niż

większość ludzi Żydom życzliwych, Mickiewicz uważał, że Izrael "brat starszy", winien cieszyć się w Polsce tymi samymi przywilejami co wszyscy, zarazem jednak zachować prawo do swej odrębności religijnej i obyczajowej. Podobna była postawa Norwida, nie inaczej, o ile można wyrozumieć, myślał Słowacki... Przynajmniej więc najwięksi stali po stronie prawdy i sprawiedliwości. Marzenie Mickiewicza było w istocie prorocze: dostrzegł on jakby, że tylko taki społeczny wybór mógł uratować (przynajmniej częściowo) Żydów od zagłady, nas zaś od moralnego upadku... Byłby to wybór zaiste niezwykły, we właściwym znaczeniu słowa mesjański. Stało się jednak dokładnie inaczej, bo przecie przyznać trzeba, że właśnie w Polsce antysemityzm stał się - zwłaszcza w XX wieku - szczególnie dokuczliwy i jadowity...

Czy doprowadził do wzięcia udziału w ludobójstwie? Nie. Kiedy czyta się to, co o Żydach wypisywano przed wojną, kiedy się odkrywa, ile było w polskim społeczeństwie nienawiści - można się nieraz dziwić, że za słowami nie poszły czyny. Ale nie poszły (albo szły rzadko). Bóg tę rękę zatrzymał. Tak, Bóg, bo jeśli nie wzięliśmy udziału w tej zbrodni, to dlatego, że byliśmy jeszcze trochę chrześcijanami, że w ostatniej chwili pojęliśmy, jak szatańskie to było przedsięwzięcie... Ale od współwiny wcale nas to nie uwalnia. Skażenie, zbezczeszczenie polskiej ziemi miało miejsce i dalej ciąży na nas obowiązek oczyszczenia. Chociaż - na tym cmentarzu - sprowadza się już tylko do jednego: do obowiązku zobaczenia naszej przeszłości w prawdzie.